



# Gniew nie rozplywa się w powietrzu

Z Moniką Glosowicz rozmawia Weronika Szwebs

Fot. Katarzyna Kaczmarczyk

1. Tytuł Twojej książki, *Maszynerie afektywne. Literackie strategie emancypacji w najnowszej polskiej poezji kobiet*, może zwiastować doznanie podwójnej czytelniczej niewygody. W społecznym mainstreamie emocje jawią się jako coś nieuchwytnego, efemerycznego. Jesteśmy raczej przyzwyczajeni, by ufać racjonalności, argumentacji, procedurom komunikacyjnym... Co więcej, emocje odczuwamy jako coś osobistego, intymnego, na wskroś własnego, a Twoja książka jest wyrazem przekonania, że stanowią one element pewnych ponadjednostkowych mechanizmów, zarządzających nami maszyn społecznych, systemowych retoryk. Dlaczego odzyskanie tematu emocjonalności jest tak ważnym zadaniem?

Przed wszystkim dlatego, że to kobietom przypisywano i w dalszym ciągu przypisuje się emocjonalność jakiegoś abstrakcyjnego rzędu, w ten sposób je dyskredytując. Ta emocjonalność ma być waloryzowana negatywnie i ma służyć jako mechanizm czy też narzędzie odbierające nam, jako wspólnocie czy – ostrożnie – jako grupie społecznej, społeczną sprawczość. Mówimy o funkcjonowaniu na różnych poziomach: od poziomu, który wydaje nam się najbardziej prywatny, choć prywatny nie jest, czyli poziomu rodzinnego, przez poziomy mikrowspólnot, aż do poziomu politycznego. Myśląc o mojej książce jako o czymś więcej niż

tylko analizie tekstów, chciałabym być bardzo ostrożna w używaniu pojęć: afekty i emocje nie są tylko konceptami, nie są tylko kategoriami rozumianymi w sposób stricte analityczny, ale są elementami życia społecznego, zbiorowego, materialnego. Kiedy próbuję rekonstruować drogę do tego, dlaczego to właśnie afekty czy emocje stały się naczelnymi, najważniejszymi dla mnie kategoriami, to właściwie nie znajduję konkretnej przyczyny, natomiast teraz, po publikacji książki, o dziwo bardzo często spotykam się z argumentem oceniającym moje możliwości sprawcze jako kobiety w życiu społecznym i politycznym. Emocjonalność pojawia się jako hasło wytrych, które ma sprawić, że zamilknę.

**To bardzo ciekawy wątek, bo przecież oświeglasz i rozbrazasz takie potencjalne zarzuty już we wstępie do książki... Wydawałoby się, że w środowisku akademickim, przywykłym do nowych metodologii, takie podejście nie powinno budzić wielkiego oporu...**

Problem, o którym mówię, pojawił się nie tyle w życiu akademickim i na polu mojej pracy badawczej, ile wrócił rykoszetem na polu okolopolitycznym w związku z moją z aktywnością w strukturach Rybnickiej Rady Kobiet. To były sytuacje trudne do rozbrojenia przeze mnie samą mimo całego instrumentarium, które sobie wypracowałam. Pisałam tę książkę w latach 2011–2016, później przerabiałam ją aż do początku roku 2018 i myślę, że to był czas budowania pewnego rodzaju bariery, którą przygotowywałam z wyprzedzeniem, wiedząc, z jakimi reakcjami mogę się spotkać. Jednak pisanie, praca badaczki zamkniętej w czterech ścianach i zajmującej się analizą tekstów, to praca dosyć samotnicza. A potem, po kilku latach, wśród społecznych napięć zaczyna dziać się to wszystko, co – jak mi się wydawało – zostało już przeze mnie wcześniej rozbrojone i przepracowane.

**Wróćmy do tematu Twojej działalności społecznej w Rybniku, tymczasem chciałabym jeszcze porozmawiać o książce. Jakie pożytki przynosi myślenie o afektach, emocjach w wymiarze ponadjednostkowym, systemowym? Jak rozumiesz podstawową dla Twojej książki kategorię maszynerii?**

Zacznijmy od maszynerii afektywnych. Próbując najprościej wyjaśnić tę kategorię, mówię zawsze, że są to pewnego rodzaju siły, zjawiska, struktury, w ramach których my jako podmioty-jednostki działamy między różnego rodzaju instytucjami nadzoru i kontroli, władzy czy przymusu a oporem wobec tych instytucji. W strukturze książki widać, że maszynerie nie są zogniskowane wokół pojedynczych afektów, takich jak gniew, o którym często ostatnio rozmawiamy, czy lęk, który też pojawia się na kartach mojej pracy. Maszynerie afektywne to raczej struktury, które są tymi afektami zasilane. Konkretnie afekty nie są wyizolowane, mieszają się ze sobą.

A co daje nam myślenie o afektach, emocjach w wymiarze ponadjednostkowym? My, kobiety, a zwłaszcza my, badaczki, możemy przechwycić te mechanizmy, naostrzyć je i skierować w drugą stronę. Za przykład może służyć dyskurs o hysterii, o którym tak pięknie pisze Joanna Mueller w nowej książce *Hista & her sista*. Popularyzacja i wytłumaczenie, skąd się ta narracja bierze i w jaki sposób działa, umniejszając i dyskredytując nasze umiejętności, sprawi, że w końcu zostanie może przynajmniej w jakimś stopniu wyeliminowana z obiegu. To szansa dla pracy dydaktycznej, o której często się zapomina w dyskusjach o uniwersytecie,

a ja bardzo sobie cenię ten wymiar. Możemy więc tę rewolucję – może to za duże słowo, ale niech tam – pchnąć dalej. Myślę, że uświadomienie sobie sposobu działania takich mechanizmów to moment, w którym uruchamia się myślenie rewolucyjne. Zaczynamy zastanawiać się nad innymi możliwościami ustrukturyzowania świata, zorganizowania przestrzeni. W tym również przejawia się siła literatury. Po tych paru latach nie myślę już o literaturze jako doraźnie walczącej i zmieniającej rzeczywistość, jako o czymś, co ma ogromne i momentalne pole rażenia, ale raczej jako o czymś, co organizuje wyobraźnię zbiorowe, co ma cienki, ale długi lont.

Żeby zobrazować pożytki z myślenia w tych kategoriach, odniosę się do pracy afektywnej, której poświęciłam jeden z rozdziałów. Był to dla mnie rozdział przelomowy, bardzo długo do niego dochodziłam, otworzyło mi to mnóstwo perspektyw i myślę, że to jest właśnie najważniejszy punkt, do którego w tej książce doszłam, mimo że nie jest to rozdział ostatni. W tym kontekście pojawia się również pojęcie emancypacji jako problem, który ciągle przepracowuję. Chodzi nie tylko o zmianę definicji tego pojęcia, ale o zmianę warunków samej emancypacji. Raptem parę godzin temu przeczytałam gdzieś na Facebooku prześmiewczy komentarz mówiący o tym, że gdyby komuś teraz „trafiły się” pięcioraczki, to w ramach Nowego Ładu byłoby go stać na zakup helikoptera. Jeżeli nie zobaczymy macierzyństwa w szerokiej perspektywie pracy (nie tylko praw reprodukcyjnych), to pojęcie równości zawsze nam będzie głucho dzwonić jak w pustym kościele. Pamiętajmy przy tym, że płęć, kobiecość również powinny zostać doprecyzowane, bo automatycznie otwiera się nam tutaj dyskusja o strukturach klasowych. A zatem jeżeli mówimy o emancypacji, to o czyjej emancypacji mówimy, w czym imieniu mówimy?

Mam poczucie, że w dyskusji o macierzyństwie w mojej książce zatrzymałam się na pewnym poziomie. Pojawia się w niej sporo momentów, w których jest krytykowana sama instytucja rodziny, to były dla mnie pewnego rodzaju odkrycia i ważne tezy, ale myślę, że od tego też należy się odbić, bo sama krytyka instytucji rodziny nie wystarczy. Jako pewnego rodzaju środowisko znajdujemy się właściwie w sytuacji jakiegoś rodzaju backlashu, bo wygląda na to, że emancypację znowu zaczynamy definiować jako możliwość pracy zarobkowej kobiet, a przecież łatwo zdać sobie sprawę z tego, że sama praca pozaafektywna, pozadomowa nas po prostu nie wyzwoli. To jest moment, w którym trzeba reorganizować struktury i poszukiwać innych możliwości ułożenia sobie tych światów.

**Czy sądzisz, że pandemia, paradoksalnie, mimo że oczywiście utrudnia funkcjonowanie, daje szansę na zauważenie tego problemu i wyjście poza niego, czy raczej posłuży jako sytuacja cementująca tradycyjne role?**

Na początku pandemii wydawało mi się, że otworzyła się nowa dyskusja o podziale pracy, o podziale pracy opiekuńczej, o nierówności płci – dyskusja niejako rewaloryzująca pracę domową kobiet. Trzeba pamiętać, że to kobiety wykonują 76% całej pracy opiekuńczej na świecie i w tym mieści się zarówno praca opłacana, jak i nieopłacana (a gros jest tej drugiej, co oczywiste). Myślę jednak, że na tym etapie pandemii mamy do czynienia z cementowaniem nierównego podziału pracy. Główną przyczyną tego faktu wydaje się przesunięcie pracy zawodowej do domu, i to prawdopodobnie nie na chwilę, ale na stałe. Instytucja *home office* to nie jest wyjście chwilowe, wiele firm zoptymalizowało działanie swoich

struktur i zamknęło biura, w związku z czym matki zostały z pracą domową i pracą zawodową w jednej i tej samej przestrzeni, co teoretycznie – jeszcze wiele takich głosów wśród moich znajomych się pojawia – pozwala im zaoszczędzić czas, to znaczy mają go więcej, bo nie muszą dojeżdżać do pracy, natomiast ja nie jestem taka huraoptymistyczna i myślę, że wyjdziemy na tym wszyscy jak najgorzej, biorąc na siebie koszty, które wcześniej ponosił pracodawca, pozwalając na rozchwianie granic pomiędzy czasem pracy a czasem wolnym i dając z siebie wycisnąć jeszcze więcej w imię najważniejszej kompetencji naszych czasów, którą jest „elastyczność”.

**Tutaj pojawia się wątek, o którym piszesz zwłaszcza w odniesieniu do Kiry Pietrek, to znaczy zbieżność tradycyjnych interesów patriarchy i interesów kapitalistycznych...**

Tak. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z klasycznym femwashingiem, czyli przechwytywaniem narracji emancypacyjnych przez mechanizmy działania późnego kapitalizmu i robieniem z nich narracji sprzedażowych, reklamowych. Takie przechwycenie ma jedynie zwiększyć zyski podmiotu podpinającego się pod postulaty, które teoretycznie miałyby wychodzić od jakiejś tam części grupy, jaką są kobiety.

**Piszesz, że Twoje analizy składają się na historię afektywnych przemian podmiotów kobiecych, i rzeczywiście bardzo konsekwentnie oświetlasz te aspekty, komentując poezję Joanny Lech, Marty Podgórniki, Justyny Bargielskiej, Kiry Pietrek, Kamili Janiak, Wioletty Grzegorzewskiej i innych. Piszesz o organizujących ich twórczość maszynierach choroby, traumy i wstydu, miłości, pracy afektywnej, migracji... We wstępie do książki zaznaczasz, że przeprogramowanie maszynierii jest możliwe, a jednocześnie większość poetek, których twórczość omawiasz, raczej demaskuje i krytykuje obecnie funkcjonujące mechanizmy, niż przedstawia nowe projekty. Wyjątkiem jest Ilona Witkowska w wieńczącym książkę rozdziale o alternatywnych wspólnotach afektywnych. Zastanawiam się, czy taki układ to Twój wybór, bo bardziej interesuje Cię potencjał krytyczny, czy raczej w ten sposób diagnozujesz stan najnowszej polskiej poezji kobiet?**

Trudno oddzielić jedno od drugiego. Widzę bardzo wyraźnie, że gdybym pisała tę książkę teraz, to zrobiłabym to zupełnie inaczej. Po pierwsze, rozdział o Witkowskiej nie byłby ukoronowaniem i nie byłby jedynym rozdziałem, który otwiera nowe perspektywy. Myślę też, że wyciągnęłabym więcej z samej części krytycznych. Wydaje mi się, że zatrzymałam się na konstatacjach dotyczących krytyki pewnych mechanizmów społecznych i nie poszłam dalej. Wiem teraz, że gdybym włączyła twórczość Joanny Mueller i przepracowała w trochę inny sposób krytykę rodziny jako instytucji społecznej, to znalazłabym platformę do odbicia się, wytyczenia nowych ścieżek czy nowych modeli wspólnoty. Sama rodzina jako wspólnota ludzka nie musi być strukturą czy instytucją wyłącznie opresywną czy tłamszącą. Taka zmiana perspektywy wiąże się z przeorganizowaniem mojego myślenia, z moimi doświadczeniami, z taką – jak to się teraz mówi w młodej krytyce literackiej – „tożsamościówką”, której się nie wyrzekam, bo założenie rodziny otworzyło mi i poszerzyło perspektywę, a nie ją zawężyło.

Część krytyczna była dla mnie zdecydowanie najważniejsza, dlatego jest najobszerniejsza. A jednocześnie w tamtym momencie to naprawdę były moim zdaniem pewnego rodzaju dominanty w świecie poetyckim kobiet. Trzeba pamiętać, że kiedy zaczynałam pisać książkę, niekoniecznie były to najbardziej uznane poetki. To był zupełnie inny stan niż ten, który jest w tej chwili. I nie mówię tylko o tym, że doszły kolejne debiuty i objawiły nam się nowe narracje i nowe głosy. Mapa jest naprawdę bardzo ruchoma i mapowanie w roku 2016 bardzo różni się od tego, do którego mogłoby dojść teraz. Myślę, że w tej chwili jestem też dużo bardziej wrażliwa na mechanizmy rynkowe, które zaczynają urządzać nawet ten mały świat poezji. Gdybym pisała tę książkę raz jeszcze, spojrzalabym więc na marginesy rynku wydawniczego dużo bystrzejszym okiem, bo mam wrażenie, że teraz naprawdę mamy do czynienia z siłami, które próbują doprowadzić do przemilczenia albo nagłośnienia niektórych historii. Gdybym badała tę przestrzeń teraz, próbowałabym wypracować jakieś techniki oporu i szukać tego, co jest na marginesach, w niszach. Być może tam też znalazłyby się głosy, które inaczej rozpisalyby tę całą historię, tę całą opowieść o maszyniach afektywnych.

Myślę, że Twój wcześniejszy punkt widzenia ma sporo zalet, bo skupienie na negatywnych i krytycznych aspektach pozwala te wątki przepracować... To duża siła tej książki. A czy gdybyś teraz miała dodać nowe wątki, które pokazywałyby pozytywne projekty wspólnoty, to poza poszukiwaniem na marginesach i poza Joanną Mueller byłabyś skłonna wskazać nazwiska, które by Ci w tym pomogły?

Myślę, że największą nieobecną jest Joanna Mueller. Na pewno chciałabym dołożyć kolejne debiutantki i sądzę, że Anna Adamowicz pojawiłaby się w towarzystwie Ilony Witkowskiej, w tym kluczu, w którym został napisany rozdział o wspólnotach afektywnych. Ciekawa jest na pewno Nina Manel. A być może *Bosorka* Katarzyny Szweddy, zresztą nominowana w tym roku do Stypendium Barańczaka? Albo Antonina Tosiek ze swoim bagażem i cyklem pamiętników chłopskich? Przyszło mi teraz do głowy, że to ciekawy wątek, zwłaszcza że sama próbuję jakoś walczyć ze swoją śląską tożsamością i przepracowywać tę śląskość, jakkolwiek byłaby ona definiowana. Więc wątki etniczne czy mikrowspólnotowe, dotyczące mniejszych języków, ale jednocześnie określające też jasno położenie klasowe, to byłoby coś ciekawego.

2. I Twoja książka, i poezja, o której piszesz, pokazują, że są blisko życia, a jednocześnie instrumentarium, którego używasz, doskonale nadaje się do analizy zjawisk społecznych. Chciałabym, żebyśmy teraz spróbowały spojrzeć przy pomocy tego instrumentarium na moment najsilniejszej erupcji afektów w ostatnim czasie, czyli na Strajk Kobiet i debatę wokół praw reprodukcyjnych. Z jednej strony możemy myśleć o gniewie jako o podstawowym afekcie, który doprowadził do masowych protestów, i jako o szansie na zmianę w społecznym dyskursie, a z drugiej strony możemy mówić o wstydzie jako o afekcie, który, tak jak piszesz, ma ogromny potencjał, aby zmiany blokować i udaremniać.

Myślę, że tutaj trzeba by było dołożyć jeszcze lęk, który był chyba afektem prymarnym i który doprowadził do tego, że nastąpiła erupcja gniewu. Ten

lęk nie doprowadził do alienacji, wyizolowania czy poczucia totalnej inercji. Poczucie zagrożenia wywołało wybuch gniewu i w ten sposób skonsolidowała się pewnego rodzaju wspólnota, która nie dała się zawstydzić również dzięki temu, że była tak zróżnicowana. Zróżnicowanie z jednej strony było siłą tego ruchu, a z drugiej największą słabością tej naprędce skonsolidowanej wspólnoty, dlatego że w momencie, w którym miała się wyłonić reprezentacja, okazało się, że w zasadzie nie ma solidnych podstaw, które tę wspólnotę ukształtowały, i że na linii, która miała wspólnotę i jej reprezentantki, a czasem reprezentantów połączyć, pojawia się napięcie. W związku z czym jest to jedno z najważniejszych wydarzeń społecznych ubiegłego roku, a jednocześnie jedna z największych porażek wspólnotowych.

**Pozostaje mieć nadzieję, że to doświadczenie zapoczentuje w przyszłości... Jednym z problemów utrudniających ukonstytuowanie się mocnej wspólnoty był stosunek do dopuszczalności aborcji bez przesłanek embriopatologicznych. Ujawniła się silna linia podziału między osobami, które czują się związane z Kościołem katolickim, i tymi, dla których nie stanowi on żadnego punktu odniesienia. Wiem, że masz na koncie tekst dotyczący feministycznych rewindykacji maryjnych, i zastanawiam się, czy Twoim zdaniem odzyskanie katolicyzmu i katoliczek dla feminizmu jest możliwe. Pamiętam też, że w rozdziale Twojej książki poświęconym Justynie Bargielskiej polemizowałaś z Anną Kałużą, która krytycznie odnosiła się do konserwatywnego poetki...**

Sam Kościół katolicki jako instytucja hierarchów mnie nie interesuje, funkcjonuje poza nim i nie myślałabym o wchodzeniu w jakieś sojusze. Choć nie zawsze tak było, bo przeżyłam całą drogę katolickiego „przysposobienia” do wiary, łącznie z przyjmowaniem komunii przez dziewięć pierwszych piątków miesiąca, co miało mi dać gwarancję zbawienia. A ostatnio rybniccy proboszcze odczytali apel Rybnickiej Rady Kobiet, w którym prosiłyśmy mieszkańców miasta o zwrócenie większej uwagi na to, czym się pali w piecu. Ale zgodzili się na wyraźną prośbę prezydenta miasta.

Natomiast jeśli chodzi o kobiety wierzące, katoliczki... Uważam, że sama wiara może być ogromną siłą napędową i życiową, którą trzeba po prostu cenić. Nigdy nie odcinałabym się więc od osób wierzących, mówiąc, że nie da się z nimi dyskutować i że nie mogą zasilić grona emancypantek. Wręcz przeciwnie. Na tym polu na pewno należałoby zawijać jakieś sojusze, nie próbując się jednocześnie na siłę przekonywać do własnych racji. Znowu wracamy do punktu wyjścia, do pytania o to, czym jest emancypacja i jakie warunki należałoby w tej chwili spełnić, żeby mówić o emancypacji. My – jakąś formę wspólnoty już tutaj zawijamy – możemy sobie naprędce skonstruować wspólnotę badaczek, ale nie mamy prawa narzucać takich, a nie innych warunków części zbiorowości określanej mianem kobiet. Powinny się odbywać negocjacje, które umożliwiłyby wzajemne zasilanie tej siły emancypacyjnej. Dlatego właśnie w lekturze poezji Bargielskiej nie chciałam tak łatwo zaakceptować krytyki mówiącej o tym, że jest to poezja konserwatywna, więc należy ją krytykować z „feministycznego punktu widzenia” (czymkolwiek by był). Kto ustala, co jest konserwatywne, a co postępowe? Co to w ogóle znaczy „postępowe”? Myślę, że dialog powinien być podejmowany, ale samo reformowanie dyskursu katolickiego nie wydaje mi się działaniem możliwym w ramach mojego świata. Pojawia się jednak oczywiście pytanie, czy nie

podminowując, nie reformując fundamentów polskiego Kościoła katolickiego, jesteśmy w stanie gdziekolwiek ruszyć masowo. Jesteśmy raczej niszą i musimy pamiętać o tym, że nawet jeśli udaje nam się przeprowadzić jakieś mikrorewolucje, to poza naszą bańką działają o wiele potężniejsze siły.

Wróćmy do Strajku Kobiet. Strona konserwatywna usiłowała wzbudzić w protestujących wstyd, odwołując się do nośnych, przerysowanych obrazów. Pojawiły się „Julki”, czyli młode, rozwrzeszczane kobiety o powierzchownych lewackich poglądach, które nie rozumieją, przeciwko czemu protestują. Do zawstydzania i dyscyplinowania wykorzystywany był także obraz macierzyństwa jako bezwarunkowego oddania i wyidealizowanego poświęcenia. Zastanawiam się, czy w opisanu tego procesu walki o język i zbiorowe wyobrażenie macierzyństwa mogłaby pomóc bardzo ciekawa kategoria „lepkiego obiektu” Sary Ahmed, którą posługujesz się w książce.

Cały czas przepracowuję wykorzystywanie macierzyńskiego imaginarium nie tylko przez strony konserwatywne, które budują figurę złej bezdzietnej, ale również przez szeroko rozumiane środowiska lewicowe. Mamy od jakiegoś czasu do czynienia z dziwnym ruchem, który jest oczywiście związany z napięciami klasowymi, i nawet trudno je sprowadzić do antagonizmu pomiędzy klasą średnią i niższą, bo pojęcia te są chyba zbyt szerokie i zbyt chłonne, ale grubą kreską można by to tak odmalować. Myślę w każdym razie o różnego rodzaju deklaracjach, które objąć można jednym skrętnym hasłem „antynatalizm”. Jest to postawa – niektórzy twierdzą, że stanowisko filozoficzne – według której sprowadzanie potomstwa na świat jest niemoralne. Pojawiła się książka Mikołaja Starzyńskiego, sporo tekstów tak stawiających sprawę publikuje „Krytyka Polityczna”. Prowadzi nas to w prostej linii do stojącego po drugiej stronie tego macierzyńskiego horyzontu obrazu złej wielodzietnej. Wydaje mi się, że kiedy w tych dyskusjach pojawia się kontekst klimatyczny i ekologiczny, to mamy do czynienia z kompletnym niezrozumieniem. Argumenty wydają się oczywiście pozornie racjonalne – jest nas za dużo, generujemy ślad węglowy i tak dalej, ale twierdzenie, że rozwiązaniem tego problemu jest bezdzietność z wyboru, która uratuje świat, jest absurdalne.

Tak więc ten sam mechanizm działa i po prawej, i po lewej stronie. Instrumentalizuje się macierzyństwo w ramach takich samych mechanizmów, tylko w jednym przypadku jako punkt odniesienia funkcjonuje porządek boski, a w drugim klimatyczny. A w efekcie mamy po prostu do czynienia z jeszcze silniejszą dewaloryzacją pracy opiekuńczej. Tym bardziej powinniśmy więc mówić o niewidzialnej pracy kobiet głośno i wszędzie, gdzie się da.

Wydaje się, że okazję do obserwacji, jak maszynerie gniewu i wstydu działają w praktyce życia społecznego, miałaś również, walcząc o czyste powietrze w Rybniku, działając w Rybnickiej Radzie Kobiet...

Tak. To bardzo ciekawe, bo mamy tu do czynienia z podobną triadą i mechanizmem działania jak w przypadku Strajku Kobiet. Jest lęk, jest wstyd i jest gniew. Ta triada wzajemnie się napędza, próbuje anihilować, wyciszać i walczyć ze sobą. Z lęku o zdrowie własne, ale przede wszystkim zdrowie dzieci, bierze się gniew części, która walczy o pewnego rodzaju zmianę społeczną. Z drugiej strony mamy inną formację, która nie chce tak błyskawicznie przyjąć potrzeby zmiany

społecznej i wypracowuje swoje techniki oporu. No i ona też jest zbudowana na lęku, lęku o przyszłość regionu, rodziny, pracy, stabilności zatrudnienia. Z tego lęku również rodzi się gniew. Mamy więc dwie strony: lęk i gniew grupy, która chce wymusić jak najszybszą zmianę społeczną, i lęk i gniew grupy, która się tej zmianie opiera. A pomiędzy tymi stronami działają mechanizmy wyższych szczebli władzy, które z jednej strony zawstydzają tych, którzy chcą zmiany społecznej, twierdząc, że kobiety historyczki domagają się jej w zbyt szybkim tempie, są zbyt emocjonalne, nie rozumieją mechanizmów działania państwa, samorządu, urzędów marszałkowskich czy parlamentu... A z drugiej strony zawstydzają tę drugą grupę, przedstawiając ją jako niewykształconych, konserwatywnych, zacofanych górników, którzy kochają węgiel i kochają nim palić. W tej złożonej sytuacji siły afektywne działające w przestrzeni społecznej napędzają się i zwalczają. To nie są jednostkowe przeżycia, tylko siły ponadjednostkowe, które w pewien sposób napędzają działania grup społecznych.

W Rybniku została przeprowadzona kampania miejska zatytułowana „Gańba”, co po śląsku oznacza „wstyd”. Ta kampania raptem tydzień temu zdobyła jakąś ważną nagrodę. Natomiast moim zdaniem jest to gest skandaliczny, polegający na wywoływaniu wstydu, który ma zostać zinternalizowany, doprowadzić do zmiany indywidualnej i ostatecznie przynieść zmianę społeczną. Myślę, że tego rodzaju kampanie i zmiany społeczne nie powinny być przeprowadzane od tej strony. Ważnym wątkiem jest też to, że Rybnicka Rada Kobiet miała funkcjonować w kadencji czteroletniej, natomiast zakończyła swoją działalność po dwóch latach. Ukoronowaniem tej działalności była międzynarodowa konferencja Stop Smog, którą zorganizowałyśmy z badaczami z belgijskich uniwersytetów i z francuskimi dziennikarzami. Na konferencji pojawili się oczywiście nasi władarze i zasugerowali, że to my, kobiety, powinnyśmy nieść na swoich barkach tę zmianę społeczną, postęp. To znaczy, że my mamy być awangardą, otwierać i torować drogę, mamy na tym froncie rozprawić się z „przeciwnikami” (którzy wcale naszymi przeciwnikami nie są), mamy wziąć na swoje barki cały żal, lęk, strach i przyjąć agresję, która jest całkiem naturalnym mechanizmem obronnym, a oni wtedy wprowadzą zmiany. I tutaj wracamy do kwestii ponadindywidualnych i systemowych – problem powinien zostać rozwiązany zupełnie inaczej, najpierw powinny pojawić się rozwiązania systemowe, należało stworzyć warunki i narzędzia, uruchomić pomoc instytucjonalną... A kobiety powinny zostać zaangażowane jako równe podmioty biorące udział we współtworzeniu tej zmiany, na takich samych zasadach jak oddolni gracze. Zamiast tego zostałyśmy wmanewrowane i wypuszczone na front, a co więcej, w oficjalnej wypowiedzi przypisano nam powinność wykonywania tego, co nazywa się pracą emocjonalną. Miałyśmy się zmierzyć z emocjami i rozegrać je, ale oczywiście ich nie okazywać! A potem dopiero mieli wejść prawdziwi gracze, którzy zbiorą – już zaczynają zbierać – nagrody za ten sukces, i to oni zapiszą się w historii jako ci, którzy przeprowadzili transformację. Nie chcę powiedzieć, że to było dla mnie traumatyczne doświadczenie, bo to był raczej proces, w którym się jakoś odnajdywałam i nie odnajdywałam, ale było to na pewno swego rodzaju doświadczenie formacyjne, które bardzo wiele rzeczy mi poustawiło. Instruktaż, który odebrałam w świecie badawczym i akademickim, który sama sobie spisałam, który sama sobie przygotowałam, który był moim orężem, mimo wszystko nie ochronił mnie przed tego typu mechanizmami i wewnątrz nich musiałam już na bieżąco tworzyć jakieś techniki oporu i szykować broń. Myślę, że bardzo ważne jest to, by pamiętać, iż tego rodzaju problemy nie



działają tylko na poziomie personalnym i potrzebne są mikrowspólnoty, które pozwalają ten ciężar unieść, dzięki czemu łatwiej jest rozbroić mechanizmy władzy i mikroprzemocy.

3. Czym jest dla Ciebie uniwersytet i czym Twoim zdaniem powinien być? Czujesz się przede wszystkim badaczką, krytyczką, nauczycielką, aktywistką?

Wszystkie moje stypendia, przygody i doświadczenia akademickie w jakiś sposób kształtowały moje życie, to znaczy pozwalały mi ukształtować je inaczej, niż ukształtowałoby się bez tych wszystkich możliwości. Staram się tę tożsamość i funkcję pracowniczą organizować na trzech poziomach. To jest po pierwsze poziom badawczy, po drugie poziom dydaktyczny, bo bardzo lubię uczyć i bardzo sobie cenię tę możliwość, a po trzecie poziom aktywistyczny czy też popularyzacyjny. I nie mówię o tym w kontekście późnego kapitalizmu czy marketingu 2.0, lecz o popularyzacji pewnych warsztatów krytycznych czy modeli, szkół lektury. To są takie trzy wzajemnie przenikające się części i funkcje i myślę, że one wszystkie razem dają poczucie spełnienia i muszą się przeplatać, jeśli nie chcemy dać się zawłaszczyć jednej z nich i jeśli nie chcemy się zanudzić.

Jak sobie wyobrażałam uniwersytet, czym miał dla mnie być? Myślę, że to znowu są dwie strony medalu, dwie przestrzenie, spojrzenia z dwóch stron. Z jednej strony wciąż myślę o uniwersytecie, o spotkaniach ze studentami, jako o przestrzeni, którą się modeluje, którą się tworzy, w ramach której wypracowuje się pewnego rodzaju narzędzia krytyczne i wspólne wnioski. Wszystko dzieje się pomiędzy prowadzącym lub prowadzącą a współuczestniczącą grupą, i to za każdym razem od nowa, bo można uczyć tego samego przedmiotu przez parę lat nawet z tym samym materiałem, natomiast odkrywa się co rusz zupełnie inne wątki i inaczej czyta się te same teksty i te same książki. Ja sama nie tyle się kształcę, ile się kształtuję dzięki tym spotkaniom. Myślę, że bardzo ważne jest to, żeby dbać o równy podział tego pola. Ogromnym wyzwaniem jest dla mnie podzielenie tego wspólnego pola uczestnictwa w zajęciach, tak żeby dać każdemu prawo głosu i szanować kompetencje społeczne, które bywają różne. Nie wszyscy chcą uczestniczyć w zajęciach, zabierając głos, ale mogą uczestniczyć w inny sposób. To jest szalenie trudne i 30 godzin to wcale nie jest tak dużo, żeby wypracować działający model takiej małej wspólnoty, ale myślę, że do tej pory całkiem nieźle się to udawało i bardzo dobrze wspominam te wspólne projekty. A więc uniwersytet jako przestrzeń – nie chcę, żeby to brzmiało jak jakiś frazes – otwarta, współpracująca, sprawiedliwa dzięki wspólnemu wysiłkowi wszystkich podmiotów, które się w niej znajdują. Przypuszczam, że w ramach edukacji zdalnej to jest niesamowicie trudne i w zasadzie prawie że niemożliwe. Natomiast druga strona medalu, to znaczy uniwersytet, który zostaje poddany różnym naciskom, który się transformuje, korporatyzuje, który się przeobraża w tym współczesnym świecie, to jest raczej mój powód do zmartwienia.

Wspomniałaś, że wiele dały Ci zagraniczne doświadczenia – podwójne studia magisterskie w Utrechcie i Grenadzie, a potem podwójny doktorat w Katowicach i Oviedo. Czy poza inspiracjami metodologicznymi i kontaktami wyjazdy zapewniły Ci możliwość innego spojrzenia na polskie życie społeczne i polskie uniwersytety? Mogłoby się wydawać, że takie zaplecze pozwala się przyzwyczaić do modelu akademickiego, który przychodzi do nas z Zachodu.

Wyjazdy po prostu uratowały mi życie. Historia moich wyjazdów to jest tak naprawdę historia moich ucieczek, które kończyły się każdorazowo powrotem na ceremonie pogrzebowe i dlatego to były doświadczenia, które mnie bardzo mocno ukształtowały. Mówię o tym tylko dlatego, że w różnych rozmowach, recenzjach badaczka, która ma spore zaplecze zagranicznych wyjazdów, przedstawiana jest jako ktoś, kto świetnie wpisuje się w logikę grantową i spełnia wymogi uniwersytetu 2.0, a ja sama zupełnie inaczej rozpisałam tę historię. To był mój sposób na to, żeby się uratować. Do tego to nie były wyjazdy, które umożliwiały mi fantastyczne, dostatnie życie, bo musiałam pracować w hali logistycznej w Marsseń nad Utrechtem, żeby się utrzymać. Zobaczyłam tam obraz optymalizacji pracy ludzkich maszyn w bardzo zmodernizowanej, estetycznie „pięknej” formie. Wszyscyśmy dostali przecież firmowe plecaczki z wkładem termicznym, z wyszytą nazwą naszej firmy. Przez jakiś czas mieszkałam na skłocie na Wimbledonie, bawiłam się na imprezie zorganizowanej w przededniu eksmisji rodzinnej kamienicy w Grenadzie, którą następnego dnia miał przejąć komornik, brałam udział w wielu manifestacjach, zwłaszcza w Hiszpanii. Tam ciągle, choć już w dużo mniejszym natężeniu, występuje kult maczyzmu, więc tym, co konsoliduje wspólnoty wychodzące na ulice, jest często sprzeciw wobec przemocy wobec kobiet. Co mi to dało? Dało mi poczucie, że uniwersytet nie jest wcale awangardą zmian, ale albo próbuje dogonić rzeczywistość, albo w niej współuczestniczy. Jest nie tyle nawet laboratorium, w którym sztucznie się odtwarza pewne procesy, ile przestrzeń, w ramach której próbuje się zrozumieć to, co się dzieje poza jego murami. W każdym razie poczułam, że nie jest to instytucja tak wyizolowana z przestrzeni społecznej, jak wydawało mi się, że jest – czy była – w Polsce. Pozwoliło mi to lepiej zrozumieć własną śląską narrację, docenić tę śląskość, spróbować ją sprobematyzować czy opowiedzieć, więc to są chyba najważniejsze pozabadawcze pozytywy.

A wracając do przejmowania wzorców z Zachodu... Myślę, że to nie jest takie proste, bo zupełnie inny model funkcjonowania uniwersytetu możemy obserwować w Holandii, a zupełnie inny w Hiszpanii. Sądzę, że taka opinia nie wynika z mojej romantyzacji hiszpańskich uniwersytetów, bo spędziłam rok, a nawet ponad rok, na północy i rok na południu, więc dobrze się temu przyjrzałam. Taki stan rzeczy związany jest z historią polityczno-społeczną i pewnie z niej wynika. Natomiast Holandia to przeciwny biegun, gdzie uniwersytet jest po prostu sporą, dobrze działającą, rozpedzoną korporacją. Student jest tam klientem, który płaci za swoją edukację, i oczywiście poziom nauczania i wymagania stawiane studentom są wysokie, wszystko to bardzo dobrze działa, ale te mechanizmy były dla mnie dość przerażające. I patrząc na galopujące zmiany w Polsce, trzeba powiedzieć, że chyba w taką stronę zmierzamy. Natomiast w Hiszpanii system edukacji uniwersyteckiej funkcjonuje trochę inaczej. Uniwersytet jest po prostu jedną z instytucji społecznych, edukacyjnych i nie ma takiej ogromnej otoczki elitarności jak w Polsce. Ma się tam poczucie swojskości, gościnności, otwartości i silnego zanurzenia w przestrzeni historyczno-społeczno-politycznej.

**Na marginesie Twoich odpowiedzi kilkakrotnie pojawił się wątek śląkości. Czy zechciałabyś powiedzieć więcej o tym aspekcie kształtowania i pracowania tożsamości?**

Ta śląskość jest niesłychanie trudna, i to pod tak wieloma względami, że jeszcze wciąż trudno mi to objąć jakimś jednym analitycznym zamachem. Próbuję sobie sama opowiedzieć historie i wytłumaczyć ich bieg, biorąc pod uwagę coraz więcej uwarunkowań, już nie tylko płciowych i klasowych, ale dołożyć do nich szerokie tło przemian historycznych, społecznych i gospodarczych. Paradoksalnie dzięki nim coraz łatwiej mi się odnaleźć, mimo że ta układanka jest naprawdę gęsta. Myślę o procesach, które Stefania Orszulik z dzielnicowej biblioteki nazwała wymazywaniem własnej historii, niechęcią do wpisania się w większą narrację. Ale jak się w tej większej historii odnaleźć, skoro wciąż daje nam się do wyboru czarno-białe pola: dobry Polak, zły Niemiec, hanys albo gorol, ryl albo tchórz? Nie mówię już nawet o tym, że kobiet nie ma w tych opowieściach wcale, bo wtedy, kiedy inni opowiadają, one jeszcze usypiają dzieci, a jak nie usypiają, to dokładają do pieca, a jak dołożą, to jeszcze szorują podłogę. Są wielokrotnie wykluczone z pola symbolicznego. Krystyna Kłosińska pięknie pisała o tej szczególności-śląskości w relacji pomiędzy genderem kobiecym i męskim nie jako różnicy jakości, ale jako różnicy skali w porównaniu z innymi wariacjami literackimi. Do tego dochodzi jeszcze kwestia języka śląskiego, który wciąż uważany jest za wulgarny, gorszy, brzydki, nieodpowiedni i w ogóle nie jest uznany jako język właśnie. Więc przychodzi moment, w którym odkrywasz, że wszystko, co cię ukształtowało, zepchnęłaś głęboko pod uniwersalne wzorce odebrane w różnych szkołach. I wtedy godosz, że niy tak to powinno wszystko wyglondać.

**Nagrody literackie bywają widziane jako okazja do zainteresowania potencjalnych czytelników ważnymi osiągnięciami literackimi i intelektualnymi. Przyznając Ci Stypendium Barańczaka, kapituła Poznańskiej Nagrody Literackiej poleciła nam Twoją książkę. Na niektórych amerykańskich uniwersytetach funkcjonuje z kolei praktyka „zadawania” całej wspólnocie akademickiej tej samej ważnej lektury, która może stać się przyczynkiem do szerszej debaty. A jaką książkę Ty byś nam zadała?**

Sama mam do nadrobienia cały śląski cykl w zwrocie ludowym, książki Dariusza Zalegi i Michała Rauszera, które w ciemno wszystkim polecam. Natomiast jako ich tło i książkę, która pomaga zrozumieć rolę, jaką emocje odgrywają w zmianach społecznych, polecam *Wspólnoty emocjonalne we wczesnym średniowieczu* Barbary H. Rosenwein – autorki wielu publikacji poświęconych społecznej historii emocji. W tej książce w bardzo przystępny sposób tłumaczy wiele kwestii, które poruszyliśmy w rozmowie. Opowiada, jak tworzą się wspólnoty emocjonalne, jak normatyzuje się emocje i wykorzystuje je w różnych celach, jak edukacja uprzywilejowuje jedne emocje, a inne degraduje. Wskazuje również problem, o którym mówiłam przed chwilą – brak materiałów rzucających światło na „życie niższych warstw społecznych”. Tak zarysowana funkcja emocji rozpoczynających i „obsługujących” zmianę społeczną daje nam nadzieję na to, że gniew nie rozplywa się w powietrzu i że możemy odważniej spoglądać w przyszłość.